Janina Łagoda

Symbolice uwieczniania losów państwa często towarzyszy zawołanie: nowe wypiera stare. I można byłoby się z tym zgodzić pod jednym wszak warunkiem, że podstawową determinantą nie będzie miałka polityczna wybiórczość, ale rezultat głębokich analiz historycznych wspomaganych społecznym osądem. Rzecz w tym, aby dziejów nie wyznaczały wyłącznie międzypokoleniowe cokoły doraźnie wieńczone kapryśnymi metaforami, lecz przemyślane decyzje zakotwiczone w życzliwej aprobacie.

Posągowe zadęcia

Stygmatyzowaniu dziejów najczęściej towarzyszy emocjonalna pretensjonalność. Przykładem, jest chociażby trwający proces upamiętniania papieża-Polaka czy prezydenta RP, ofiary smoleńskiej lotniczej przypadłości. Splotły się tutaj ambicje rządzących z proboszczowsko-samorządowymi licytacjami wtopionymi w uległość wobec politycznych sugestii. Obfituje to wysypem monotematycznych pomników, epitafijnych tablic, nazw ulic, placów, szkół etc. Taka nastała moda ze wszystkimi przynależnymi cechami tej chwilowej statystycznej dominanty, łącznie z grożącą jej ulotnością, ale także inflacyjnym nawisem dowodów pamięci, pomijając zacietrzewienie stygmatyzujące dysputy.
Wielu pławi się spektakularnymi odsłonami, nie bacząc na dzień jutrzejszy, który może stać się tego przewrotnością. Nie wieszczmy zła, ale od ostrzeżeń też nie strońmy. Wszystko winno nasadzać się na racjonalnej, a nie emocjonalnej interpretacji czynów. Historyczny fakt, to nie rezultat plebiscytu z jej ulotnym propagandowym arsenałem argumentów, ale niepodważalny wpis w dzieje państwa. Synteza woli tych, co usiłują tworzyć pamiętnikarskie pomosty między dawnymi i dzisiejszymi czasy, równie dobrze może trafiać w trudne do pokonania otchłanie. Skomplikowana to amplituda wzniosłości i niepowodzeń na burzliwej paraboli dziejów i towarzysząca im niebotyczna interpretacyjna rozpiętość.
Wpisywanie w publiczną przestrzeń historycznych symboli, to złożony proces. Nie zawsze wystarcza chronometryczny i refleksyjny pomiar dystansu. Dla przykładu pomnik weteranów wojny koreańskiej w Waszyngtonie odsłonięty został dopiero w 42. rocznicę zawarcia rozejmu, ale i przy tej okazji nie zabrakło polemik. Aktualną ilustracją rodzimych ambiwalentności w tym obszarze jest rozgardiasz zaistniały wokół inicjatywy odrestaurowania przedwojennej poznańskiej statuy symbolizującej wdzięczność narodu za odzyskaną niepodległość w 1918 roku. Budowlę wzniesiono w 1932 roku, a wotywnego aktu dokonał kard. August Hlond. Był to dzień Święta Chrystusa Króla. I to przesłanie uzupełniało nazwę dziękczynnego wota. W październiku 1939 roku okupant zburzył niewygodny dla niego symbol. Dzisiaj odżyła idea jego restauracji. Już na wstępie została obarczona kontrowersjami, grawitującymi w społecznym przedziale akceptacji i negacji. W tej niewygodnej szczelinie bez stosownych pozwoleń postawiono fragment przyszłego monumentu, tj. pięciometrowy w brązie odlany posąg Chrystusa Króla. W kościelnym pokropku (3 czerwca 2016 roku) uczestniczył także szef resortu od obrony, który wcześniej przyzwolił armii na transport i posadowienie statuy. Blisko wiekowa odległość od jutrzenki swobody, utraconej w 1939 roku, stała się pretekstem do polityczno-ambicjonalnych zachodów, dzisiaj nie przystających do tamtych dni. Patrzmy w przyszłość. Przykład tej rozgrywki wokół symbolu niepodległości niczemu dobremu nie służy,

ale gruntuje klin w społeczną jedność. Takich przykładów w Rzeczpospolitej jest wiele, a to nie radością, lecz smutkiem napawa.
Pomników nie wolno stawiać przeciwko komuś lub czemuś, bez społecznego zrozumienia, bo wówczas te, z pozoru szlachetne gesty miast łączyć będą dzielić. Staną się zarazem obiektami ataków i obrony, a więc bliskimi wojennym manewrom. Ale jeśli aprobują to ważne osoby w państwie, to czy znajdzie się racjonalna formuła wyjścia z zaklętego kręgu, poza wzmacnianiem redut nienawiści i pogłębiania historycznych zawiłości?

Wyniosłe dylematy

Symbolom dawnych lat nie tyle szkodzą fizyczne prawa natury (np. erozja), co ideologiczne pomysły rodaków. Najczęściej są to emocje w przedziale: słuszny – niesłuszny; poprawny – gorszący; trafiony – nietrafiony itp., bez rzetelnych naukowych analiz. Niszczenie pamiątek, to zwykle prosty techniczny zabieg, ale problemem pozostaje intelektualna motywacja takiego czynu. Zdarzenia to smutne, bo trącą barbarzyństwem, a Najjaśniejsza nigdy nie cierpiała na nadmiar zabytków, jakie by one nie były. Możemy nie oddawać hołdu, wykazywać obojętność wobec takiego czy innego materialnego znaku przeszłości, ale nikt nie upoważnił nas do prowokacyjnego ich demontowania, obrażania, niszczenia, przerabiania na bardziej słuszne itp. Każdy ma swój merytoryczny kontekst, wpisany w dzieje RP, niezależny od chwilowych sejmowych przetasowań.
Życie jednostki, społeczeństwa, to wiązka wektorów, których nie sposób zmierzyć i ująć w matematycznej formule. Nie stanowi to jednak przeszkody dla ich werbalnej analizy pod warunkiem, że dochowuje się zasad badawczej uczciwości. Z tym są kłopoty. Często w sukurs przychodzi dynamit lub młot.
W obliczu dzieł sztuki, to bestialskie narzędzia, także wobec ich twórców, a tutaj znamienitości wiele.
Po 1990 roku, co bardziej emocjonalnie usposobieni rodacy przystąpili do pisania na nowo historii przedwojnia, wojny i PRL, ale już z wygodnego przykominkowego fotela. Trwa to w najlepsze. Nic bardziej zgubnego i szkodliwego dla przyszłych pokoleń, jak i rozumienia teraźniejszości oraz kreślenia miejsca Polski w przyszłości. Faktów nie można zastępować wymyślonymi ad hoc hipotezami i w urzędniczym trybie wbudowywać je w odległe czasy. Graniczy to z szalbierstwem, ale nade wszystko obraża dziejowe wydarzenia.
Rządzący, posiłkując się Instytutem Pamięci Narodowej (IPN), czynią wiele, aby skorygować do wygodnych parametrów fakty dotyczące okoliczności wybuchu i zakończenia ostatniej światowej hekatomby oraz trwania PRL, mimo że wielu z nich, a ich przodkowie na pewno biogramami tkwią w tamtych czasach. Nakazowe zapominanie o niedawnych latach wskrzesza robotę Syzyfa, bo tamten czas został na trwałe wtopiony w fundamenty dzisiejszej Rzeczpospolitej, która nie zrodziła się jak Feniks z popiołów. PRL stanowi jej założycielskie wiano. Trzeba być gruboskórnym, aby nie dostrzegać tych uwarunkowań. Kwestionowanie oczywistości trwania PRL to hipokryzja. Frymarczenie historycznymi przedziałami ojczystych dziejów jest zgubną praktyką, ale gilotyna ścinająca PRL pracuje intensywnie. Można liczyć tylko na rozsądek jej operatorów i skuteczność zachowań racjonalistów.
Tendencyjne zapominanie o niedawnych czasach jest biegiem krótkodystansowym, na jednym oddechu, zaś przed nami maraton.
Międzynarodowy odbiór skutków rodzimych zachowań jest niebagatelny, zwłaszcza w dzisiejszych globalnych zespoleniach, gdzie polityczna autarkia, to anachronizm.

Cieniowanie wojny i PRL-u

Farba zastosowana przy zamazywaniu poprzedniczki III RP jest mało skuteczna wobec podłoża. Przebicia są powszechne, mimo że urzędowym graficiarzom w sukurs przychodzi ustawowe wsparcie. Ale to raptem formalna efemeryda przysłonięta zwycięskim samouwielbieniem, niweczącym roztropność.
Triumfatorzy wyborczego efektu roku 2015 starają się wyrzucić za burtę historyczne fakty, krasząc je propagandowymi interpretacjami przykładowo o okolicznościach wrześniowej klęski, okupacyjnej tragedii, decyzji o wyznaczeniu nam miejsca na ziemi przez Wielką Trójkę, okrągłostołowej ugody etc. W skrytości ducha możemy jedynie ubolewać nad tym, że Zachód jako pierwszy nie dotarł do Warszawy, a miał szanse. Zaoszczędziłby nam dzisiejszego zgiełku. O tym ani słowa, jak i o istotnych przyczynach zmian ustrojowych u schyłku lat 80. ubiegłego wieku, kiedy to notarialni spadkobiercy mocarzy likwidowali jałtańskie regulacje, dając także i nam swobodę w wyborze nowego ustroju. A kiedy Bill Clinton, były prezydent USA, przypomniał tę oczywistość, wywołał eksplozję obrazoburczych wypowiedzi. Myśl prezesa prawej i sprawiedliwej formacji, komentującą tę ekspiację dzielnie rozwinęli jego pretorianie, a wśród nich prezydent i premier, domagając się nawet przeprosin. Może zawiodła pamięć, co jest mało prawdopodobne. Przeważyła raczej zachłanność w przypisywaniu sobie wyłączności na sukces w walce o wolność. Jak się okazuje, samodzielność nam nie sprzyja. Wolimy tkwić w wąskich przestrzeniach z koniunkturalnymi przechyłami do przeciwstawnych ścian.

Urzędowa weryfikacja historii

IPN z naukowymi aspiracjami i własnym prokuratorskim zasilaniem, rozpętał administracyjną batalię, i to w międzynarodowym wymiarze - likwidowania wszystkiego, co może przypominać historię PRL-u i jej związków z jałtańskimi ustaleniami Wielkiej Trójki, a tam zapadła decyzja o naszym powojennym statusie. Szkoda, że wówczas nie zrodził się IPN, bo dzisiejsze jego oceny skutków tamtych werdyktów są kotwiczone w lotnych piaskach. Pomniki, nazwy ulic, obiekty itp. symbolizujące tamten czas mają na zawsze zniknąć z przestrzeni publicznej. Chwilowo nie ma sygnałów, aby zaczęto karczować drzewa-pomniki, posadzone przez nieprawomyślnych dygnitarzy, chociaż wycinka drzewostanów, także tych chronionych – puszczańskich, to kolejny paradoks, trapiący władzę. Korygowanie historii doczesnością wplata się w niedorzeczność.
Szokuje to, że raptem ktoś zaczyna optować za nicością miejsca i czasu, w którym przyszedł na świat, uczył się, pracował, a było to przecież państwo o prawnych regułach, nazwie i międzynarodowym uznaniu. Bliskie to pomieszaniu absurdu z brakiem trzeźwej oceny własnego biogramu. Sporo tutaj analogii do grząskiej ścieżki powojennego degradowania II RP.
Pustka nigdy nie była przedziałem historycznym. Nauka o losach ludzkości nie zna takiego pojęcia. Niedostrzeganie i obrażanie dziejowych faktów rozczarowuje. Kasacja materialnych przejawów istnienia PRL to zabieg szkodliwy. Sam przebieg owej wydumanej dekomunizacji jest przedmiotem sporów. Pamiętać też należy o tym, że każda prohibicyjna lista, to nieodgadniona siła generująca sprzeciw, ale i zamęt w rozumieniu naszych dziejów. Symbol przeszłości to też nauczyciel historii.

Korygowanie otoczenia

Mieliśmy być forpocztą w budowaniu kordialnej autostrady pomiędzy państwami Europy wschodniej i zachodniej. Czas werbalnego zachłyśnięcia się ową misją trwał krótko. W błyskawicznym tempie zaczęliśmy mnożyć przeszkody. Zamiast przyjaznej drogi wybudowaliśmy solidną barykadę, którą ciągle doskonalimy, dopraszając się NATO-wskiej pomocy. Inni zaś w zgrabnych dyplomatycznych pląsach ją omijają, także nasz węgierski tzw. strategiczny przyjaciel, ale i zaoceaniczny guru również. Państwo nasze zaś uprawia politykę wzajemnego utwierdzania się w opcjach przez siebie wymyślonych. Osobnicze to perpetuum mobile. Osądy świata o nas są nam zbyteczne. Rodzimi politycy czynią wiele, aby domknąć izolacyjną uszczelkę. Wprzęgli w ten rydwan nawet politykę pomnikowo-funeralną i to z jedynym przesłaniem niszczenia znaków symbolizujących dawne wybawienie nas od ostatecznej nazistowskiej golgoty, tłamsząc odruchy wdzięczności. Jest to skok w międzynarodową polityczną otchłań bez certyfikowanego kapoka. Samounicestwienie? Bo symbole z powojennych lat należy odczytywać jako dziękczynną spontaniczność ocalenia narodu. Była to forma oddania hołdu poległym żołnierzom, także polskim. Rodowody wielu z nich sięgają także państw dzisiaj należących do Unii Europejskiej i NATO, a to może być przeszkodą we wzajemnym zrozumieniu. To nie ci polegli, zazwyczaj młodzi ludzie, propagowali komunizm, a już na pewno nie mieli pojęcia o późniejszym podziale Europy. Czy uczeni wspomnianego Instytutu tę oczywistość zgłębili? Żałość bliskich po stracie dzieci, to emocje ogromne mogące wyżynać piętno na dobrosąsiedzkich układach. O tym też należy pamiętać w owej pogrobowej polityce, bo i na Wschodzie wiele mogił Polaków, nie wyłączając Katynia. Wzajemność, to uświęcone kryterium współistnienia.

Inne spojrzenie

Są państwa, które nie rozstają się z materialnymi znakami swojej historii. Np. w Rzymie spotykamy statuę Nerona, który ponoć spalił to miasto, w Finlandii nie usuwa się pomników cara, w RFN nadal jest sporo publicznych ekspozycji Engelsa i Marksa, a w Berlinie również aleja Marksa i wzorcowo pielęgnowane pomniki oraz nekropolie zdobywców tego miasta, jak przykładowo cmentarze żołnierzy radzieckich w: Treptower Park, Tiergarten, Schöholzer Heide i wiele innych, także poza metropolią. A Wiedeński Schwarcenbergplatz ozdabia częściowo pozłacany, pomnik żołnierzy radzieckich. Na londyńskim cmentarzu Highate cały czas leżą świeże kwiaty na grobie autora Kapitału. Paryżanom nie przeszkadza to, że jeden z najpiękniejszych mostów nosi imię cara Aleksandra III, i Plac Bitwy Stalingradzkiej, jak i to, że w Montpellier znalazł swoje miejsce m. in. postument z Leninem, Mao Zedongiem itp. Przykładów roztropności innych w kreowaniu symboliki dziejów można mnożyć. Rzecz w tym, aby ta cecha utrwaliła się w umysłach rządzącymi RP. Idee wprawdzie przemijają, są korygowane, obtaczane kontrowersjami, ale nie sposób je wykluczyć z historiograficznych rejestracji, zwłaszcza kiedy przyjmują materialny rynsztunek.
W tamtych krajach prowadzi się też dyskusje nad tego rodzaju pamiątkami, ale w racjonalnym nie administracyjno-nakazowym wymiarze. Może i u nas nastanie lepszy czas, bo przykładowo w Warszawie nadal istnieje, dotąd nie kwestionowany przez IPN, Plac Sokratesa Starynkiewicza, carskiego generała i wykonane przed wojną jego popiersie, ale chyba dlatego, że był skutecznym prezydentem miasta i walnie przyczynił się do wodociągowo-kanalizacyjnej drożności Warszawy wespół z Lindley´ami, a nawet w ferworze dobrych uczynków ośmielił się odrestaurować Kolumnę Zygmunta. Czy uniknie lustracyjno-weryfikacyjnych zapędów? Nie słychać też, aby zamierzano zgruzować budynki Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej o

carskiej proweniencji. Natomiast budowla z Placu Defilad, wzorowana na amerykańskich drapaczach chmur, takiej tolerancji nie dostępuje, mimo że użycza gościny wielu instytucjom dzisiejszego państwa. Kolejny to dylemat.
Awantury pod pomnikami, i nie tylko trwają w najlepsze segregując rodaków, jak przykładowo myśl pełnomocnika ministra obrony narodowej do spraw archiwów wojskowych, że żołnierze 1 i 2 Armii Wojska Polskiego, znaczący krwią szlak bojowy od Lenino po zawieszenie flagi na Reichstagu, nie stanowią części polskiego oręża. Nic bardziej gorszącego. W identyczny sposób można byłoby potraktować polskich żołnierzy, którzy również z radzieckich bezkresów znaleźli się na Zachodzie, wypełniając powinność wobec ojczyzny pod rozkazami zachodnich aliantów. Zastosowane uproszczenie komplikuje i to, że dowodzący polskimi żołnierzami na Zachodzie swoje marzenia realizował w rosyjskiej armii (gen. Anders), a dowódca niepolskiej armii w legionach Piłsudskiego (gen. Berling). Górę wzięła polityczna arogancja, bo ani bitwa pod Lenino, ani o Monte Cassino nie odwróciły losów wojny i nie skruszyły powojennych regulacji wobec Polski. Dzisiaj stały się bulwersującą kartą przetargową w uprawianiu polityki historycznej i to bez szacunku dla tych, którzy tam zginęli.

Poniewieranie przeszłością

Przeraża jednostronność w sposobie interpretowania faktów. Taka formuła ma ograniczoną moc sprawczą. Weryfikowanie pamiątek, jest sprawą wielce złożoną, wymagającą zastosowania wysublimowanej skali ocen. Genezę każdego przypadku cechuje niepowtarzalność. Nie wystarczy hasło pt. propagowanie komunizmu, którego w Polsce nie było, aby w defiladowym marszu rozprawiać się z tamtymi czasy. Rozdrapywanie bliźniących się ran, to perfidia, także w międzynarodowym oglądzie. Z IPN uczyniono formację kreującą politykę zagraniczną państwa, z głównym zamysłem korygowania partytury kremlowskich kurantów. Fatalna kalkulacja. Doraźna parlamentarna przewaga, to żaden akt rejentalny do dysponowania dziejami Rzeczpospolitej. Pora się opamiętać, bo satysfakcja z porządkowania własnego podwórka może być despektem dla innych, zwłaszcza tych, którzy nam pomogli, a odnosi się to tak do Wschodu, jak i Zachodu. Potrzebny jest dialog, a nie transzeje i wyświechtane zawołanie: sprawiedliwość sprawiedliwością, ale racja musi być po naszej stronie.
W ramy dekomunizacyjnej jednoznaczności trudno wtłoczyć nazwiska wielu rodaków, którzy zabiegali o niepodległość Polski na przestrzeni dziejów. Niemal klasyczna przypadłość, to ścięcie, pod osłoną nocy (6/7.4.1990 r.), popiersia Marcina Kasprzaka w poznańskim parku jego imienia, Wielkopolanina, straconego w 1905 roku na stokach Cytadeli Warszawskiej, bo zmagał się z zaborcami i posadowienie na zwolnionym cokole podobizny dawnego prezydenta USA, W. Wilsona. Druga to już egzekucja tego patrioty, a pierwsza w wolnej Polsce. Może stołeczna Wola nie okaże się dla niego tak okrutna. Podobnie bezmyślnie ocenzurowanych przykładów jest wiele. Pozostanie więc problem nazw ulic, budowli etc., np. Marii Skłodowskiej-Curie, Picassa, Daszyńskiego, a może wczesnego Piłsudskiego, Dmowskiego oraz innych o nie zawsze kompatybilnych myślach z dzisiaj obowiązującymi. Dlatego też imperatyw owej maniakalnej obsesji winien ustąpić miejsca racjonalizmowi o szerokokątnym indywidualnym osądzie. Wiele decyzji, podejmowanych pod propagandowymi naciskami, tchnie układną usłużnością, łącznie z oddaniem w pacht własnej reputacji w imię nadwyrężenia nici narodowego pojednania. Parasol wyborczej przewagi też ma swoją wytrzymałość. W obecnych zapętleniach cenny byłby duch koncyliacji, a nie oszczepnicze ciosy w majestat

Rzeczpospolitej.

* * *

Pejoratywny zlepek haseł: komunizm, faszyzm, sowietyzm etc. zadekretowane jako kierunek szturmu, potęgują interpretacyjne zawiłości. Semantyka ma swoją moc w znakowaniu idei, przedmiotów etc., ale jest to zaledwie filozoficzny paradygmat w badawczej naturze pojawiający się od starożytności. Powinniśmy się z więc z nim oswoić i stworzyć dystans do merytorycznej zawartości promowanego nazewnictwa. Dezawuowanie pracy pokoleń, to odrzucanie argumentów narodowej ciągłości. Tylko otwartość w osądzie niedawnej przeszłości może wieszczyć społeczny zysk. Szlachectwem byłoby, aby parlamentarni zwycięzcy nie stygmatyzowali Polaków, wedle politycznych identyfikatorów, bo sami też tkwią w tych trybach. Prestiż Polski w świecie to ważna pieczęć dla naszej szczęśliwości, ale czy wystarczy do tego tandetny spektakl rozkopywania pryzmy piachu w Redzikowie, oznajmiający oddanie obcym w pacht bliskie Słupskowi otoczenie, a dodatkowo prowokuje odwetowe zagrożenia tej okolicy w chwili konfliktu. Niedawno bazy zniknęły, ale jak czas wskazuje, bez nich rządzący czują się niepewni, albo pracują nad powrotem na moskiewski kreml. Niepojęta i utopijna to racja stanu, zwłaszcza jeśli nie wiemy kto i z której strony nas zaatakuje. Kiedyś dyplomatyczni adwersarze od Wschodu i Zachodu zakleszczyli nas w niepojętej tragedii. Wątpliwości dnia dzisiejszego lekceważyć nie wolno. Wódz tego nie dostrzega?

Janina Łagoda